

0mg. u Rek.
Wrocław
(poza styl
wielki.)

Eugenia Sosnowska

Relację nagrała i przepisała Janina Woźczuk

Wrocław, listopad 1990

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Jestem Eugenia Sosnowska z domu Krukowska. Urodziłam się niedaleko Słucka w majątku Pracewicze 11 października 1905 r. Rodzice moi należeli do szlachty, mieli trochę ziemi. Dawniej pod zaborem carskim szlachta nie miała prawa nabywać ziemi, to prawo mieli tylko chłopci. Szlachta dzierżawiła ziemię u magnaterii. Ojciec mi wyjaśnił, że był taki edykt carski, który mówił, że jeżeli magnat nie rozwiąże umowy z dzierżawcą, to dzierżawcy będą mieli prawo do ziemi. Z moim ojcem bezpardonowo rozwiązano umowę, ale ojciec nie miał gdzie się podziać. Zaproponowano mu kupno ziemi - na spłatę przez 35 lat, z odsetkami 12%. Ojciec oczywiście wybrał tę możliwość. Mieszkał z rodziną. Było nas w rodzinie kilkoro dzieci, w tym jeden brat. Do szkoły nie chodziliśmy. edukację początkową pobieraliśmy w domu, mieliśmy w domu kogoś w rodzaju nauczyciela. Uczyliśmy się dobrze, bo ja potem zdałam egzamin w przygotowitielnyj klasie.

W domu modliliśmy się po polsku, ojciec miał kantyczkę, śpiewaliśmy polskie pieśni religijne. A w gimnazjum był i ksiądz katolicki, i batuszka, i rabin. Chodziłam do gimnazjum w Słucku. W czasie wojny polsko-bolszewickiej wszyscy ludzie marzyli o tym /nawet Białorusini/, żeby Polska była aż po Kijów. Kiedy granica już się ustabilizowała, to niektórzy ludzie przedtem przenieśli się w okolice Klecka i Nieświeża. A my zostaliśmy po bolszewickiej stronie, wciąż jeszcze nie wierzyliśmy, że tu nie będzie Polski.

Początkowo życie było jeszcze możliwe. Potem przyszedł NEP, a jeszcze potem kolektywizacja. Rodzicom zabierają ziemię, nas zatrudniają przy geometrze, wydzielają nam, tzn. rodzicom 5 ha ziemi - najgorszej, na mokradkach. A niektórzy sąsiedzi mieli nawet po paręset ha. Ziemię zabrano wszystkim. Taka sama sytuacja jak u moich rodziców była u Sosnowskich - ja już wtedy wysz-

Eugenia Sosnowska

żam za ręką za Sosnowskiego.

Zaczynają się naigrywania z byłych właścicieli ziemskich. U Sosnowskich był duży drewniany dom, bardzo ładny. Pewnego razu nie tego ni z owego przyjeżdża wóz strażacki, oblewają nasz dom wodą - bo: palą się kużacy! Nie rozumieliśmy jeszcze wtedy słowa "kużak", bo "kużak" to po białorusku znaczy "pięść". Ja wtedy pokrzywiałam trochę na tych strażaków. A oni zamontowali pompę do studni - oczywiście żadnego pożaru u nas nie było - ale oni oblali cały dom, wszystko w domu - niby dla śmiechu. I takich oblanych w tej miejscowości było kilku. Mieliśmy już wtedy córceńkę.

Po pewnym czasie przyjeżdżają do naszego domu i wszystko nam zabierają - nasze rzeczy, meble - wszystko. Zostawiają tylko parę kilogramów. Proponują nam przesiedlenie się do jakiejś starej izdebki - prawie jak chata wuja Toma. A do naszego domu mają wprowadzić jakiegoś pana. Ale on się nie zgodził. Powiedział, że skoro teras chcą wysiedlić Sosnowskich, to po pewnym czasie wysiedlą i jego. Zostawili więc nas w spokoju. Ale ten spokój nie trwał długo. Przyjechali po kilku tygodniach ponownie. Poznałam naszego konia. Kazał nam wychodzić z domu. Było nas dwoje z dziećkami, byli też rodzice męża. A ja nie wiem, co się stało z moimi rodzicami. Mama zmarła, w domu był ojciec i dwie moje siostry. Mój brat uciekł na polską stronę. Poprosiłam sąsiada, żeby mi dał konia, żebyśmy mogła pojechać do domu rodziców.

Przyjeżdżamy do Pracewicz. W Pracewiczach było tylko parę gospodarstw. Nie zajeżdżam przed dom ojca od frontu, zbliżam się od tyłu, od zabudowań. Wszłam na podwórko. Zauważyłam, że znikła z podwórza psia budka. Wszłam do domu, widzę: nasze meble /meble jak na tamte czasy mieliśmy porządne/. W domu zamieszkała młoda osoba - Marysia. Znała mnie, zwróciła się do mnie per "Panienko" - prosiła, żebyśmy jej nie winiła, bo jej kasano zamieszkać w naszym domu. A moich rodziców miałam znaleźć w wiosce. /Wioska też nazywała się Pracewicz/.

Przyjeżdżamy z mężem do wioski, trafiaamy do roszalonej starej chatki, a koło tej chatki stoi nasza psia budka. Po tej budce poznałam, że tutaj zamieszkali moi bliscy. Bo im nie nie pozwolili zabrać, tylko tą psią budkę. Wchodzimy do chatki: porąbany próg, w izbie w klepisku jama /izba bez podłogi/, w środku 8 osób - moja rodzina i nasi sąsiedzi. Nowi lokatorzy okleili ściany gazetami. Powiedziałam im, że skoro tak "przytulnie" się urządzili, to znowu zaliczają ich do kużaków

Eugenia Sosnowska

Wróciliśmy z mężem niby do siebie. Nie mieliśmy już prawie nic. Ktoś z sąsiadów przyniósł nam trochę czegoś. Nie zapomnę jednego drobiazgu: kiedy nam już zabrali wszystko, to w kuchni został mały stołeczek zwany pucybutem. Otóż pewnego razu przyszła kobieta z sąsiedstwa, a nie była to najbiedniejsza kobieta we wsi, i mówi: "Ja wam zabiorę ten stołeczek, bo i tak wam nie będzie potrzebny". Zabrali nam wszystko, nawet tego pucybuta.

Wkrótce przyjechali po nas, posadzili na furmankę. Ktoś z li- tości wrzucił nam coś do jedzenia, bo już nawet mleka dla dziec- ka nie mieliśmy. Przewożą nas do Szucka, ładują od razu do wago- nów. Kiedy teraz myślę czasami o Oświęcimiu, to myślę, że w Oś- więcimiu były przynajmniej poprzeczne deski jako prycze. A w tych wagonach nie było nic. Zakładowali nas do wagonów - ponad 60 osób, wszyscy w pozycji siedzącej w kucku, zgarbieni, z resztką, nędznych rzeczy, jakie kto miał. Wiozą nas w nieznanym kierunku. To był 1929 rok.

Wiozą nas. Pasażerami jest tzw. szlachta. Chłopów wśród nas nie było. Byli ludzie, których ludzie uważali za zamożniejszych. W wagonie nie ma ani ubikacji, ani nic. Jest trójkątna dziura w desce - ma pełnić rolę toalety. Robimy z czego mamy coś w ro- dzaju parawanu.

Po dwóch tygodniach przyjeżdżamy do miasta Kotłas, nad brze- giem północnej Dźwiny, która wpada do Białego Morza. Wyładowują nas, każą wychodzić. Były tam już zawnazsami przygotowane chyba cztery baraki i to był tzw. punkt przesiedleńczy. Spiny na pry- czach, włazimy na prycze piętrowe. W drugim wagonie znajduję mo- jego ojca, który jechał w tym samym transporcie.

Wszyscy mężczyźni, młodzież, zdrowe silne kobiety zostały za- brane jeszcze dalej - do Solwyczegodska w Komi ASSR. Ja zosta- lam w Kotłasie z małym dzieckiem. Baraki nasze były otoczone drutem kolczastym. Miejscowa ludność nie mogła kontaktować się z nami. W obozie zaczynają się choroby. Rano po nocy z baraków wynoszą trupy. Moje dziecko jest jeszcze zdrowe. Dałam znać mę- żowi o sytuacji w Kotłasie. Mąż uciekł z Solwyczegodska i szedł w kierunku Kotłas. W ucieczce pomogli mu Rosjanie, prości lu- dzie, którzy wieźli siano i w tym sianie go ukryli. Przechowali go w swoim donku, dali dwa ziemne siemniaki i garnuszek kwasu chlebowego. Ten poczęstunek mój mąż wspomina jako najsmaczniej- szy w swoim życiu.

Mąż dotarł do Kotłas. Wtedy nasze dziecko jeszcze żyło. Ale nie trwało to długo. Dziewczynka umiera. Nie ona jedna. Syn mo-

Eugenia Sosnowskajej

jej kuzynki Zenon Lewkowicz, chłopak 19-letni, zachorował i po dwóch dniach już nie żył.

Poprosiłam, żeby mi dano trochę wody, żeby umyć zmarłą córeczkę /ludności miejscowej nie wolno było do nas się zbliżać, nawet podać kubka wody, ludzie ci byli informowani, że my siejemy zarazę/. Wtedy on /strażnik? komendant?/ odpowiedział: "Isz, wydumała, niesi w rieczku i pomoj" /ale masz wymagania, nies do rzeki i umyj/. Poprosiłam, czy nie mogę dostać trumienki dla dziewczynki. A on na to, że jest jedna trumna/dyzurna/, mogę w niej wynieść zmarłą, wyrzucić i trumnę przynieść z powrotem, bo będzie potrzebna następnemu zmarłemu. Z litości sprzedawczyni z kiosku, w którym sprzedawano ryby, sprzedała opakowanie od ryb i z tego dziadek Sosnowski zbił coś w rodzaju trumienki. Córeczka nasza została pochowana w jednej jamie z 8 innymi osobami - taki zbiorowy grób /inni byli pochowani bez trumien, byli tylko sawinięci w co się dało/.

Wtedy zaczęliśmy planować ucieczkę. Dziecka już nie było. U tantejszych ludzi kupiliśmy zaświadczenia tożsamości bez wypisanych nazwisk. Udało nam się. Dojechaliśmy do Wiatki /obecnie Kirow/. Z Kirowa planujemy we troje /ja, mąż i moja siostra/ jechać przez Moskwę, Mińsk w stronę Brześcia. Wiemy, gdzie uciekać, bo już granica z Polską jest stała i wiemy, że gdzieś w Polsce jest mój brat. Udało nam się, widocznie los tak chciał. Wsiadliśmy do pociągu z tymi dokumentami na cudze nazwiska, nie wsiadaliśmy do jednego przedziału, tylko każde osobno. W pewnym momencie pociąg stanął w polu - w pociągu zaczęła się kłapanka: chodzą i sprawdzają dokumenty. Przeraziłam się, bo w pewnej chwili zobaczyłam, jak dwaj uzbrojeni NKWDziści prowadzą moją siostrę i krzyczą, że to nie jej dokumenty. Ona nie umiała mówić tą miejscową gwara, nie mogła się upierać przy dokumentach. Chwyciła je, podarła i rozrzuciła po polu. Zrobiła bardzo dobrze, bo w ten sposób uratowała osobę, która sprzedawała jej te dokumenty. Widzę też, że prowadzą Brzozowską /to była matka naszego profesora literatury, jednocześnie jej brat był żonaty z moją kuzynką/. A ja siedzę, dokuczają mi insekty, chociaż sukienka była trochę przeprana. Naprzeciwko mnie siedzi 5 osób /rosyjskie tory i wagony są trochę szersze/. A ja udaję greka, wyciągam nogi na całą p szerokość przedziału i niby zasypiam. Kiedy weszli do naszego przedziału, ja nadal udawałam śpiącą. NKWDzieta potrząsnął mną i powiedział tylko: "Ubierit'e nogi!" i nie spytał o dokumenty. Pozostałych sprawdzili. Mąż mój w i

nym przedziale

sprawdzili. Mąż mój w innym przedziale też spał - na półce i jemu też się udało.

W wiatce musieliśmy kupić bilety na pociąg i zakompastirować. Nie mamy co jeść. Nadal trzymamy się osobno. Przechodząc obok mnie mąż póżgłosem powiedział: "A jednak tu na dworcu można co nie-co zjeść". Zrozumiałam to jako sygnał dla mnie. Przychodzimy do restauracji dworcowej, a tam ogłoszenie: Obiady sprzedawane są tylko za okazaniem dokumentów lub ważnego biletu. Biletów jeszcze nie mamy, a dokumentów nie chcemy pokazywać. Ale siadamy. Podchodzi kelner i żąda dokumentów. A ja na to: "Kakije dokumenty? Projezdnoj bilet pokazat' wam?" Uwierzył mi na słowo. Przyniósł jakąś rybę i jeszcze coś.

Przyjechaliśmy na nasze tereny, bliżej Słucka. Schowaliśmy się u znajomych. Niedaleki sąsiad - Czernyszewicz - przynosił nam jeść do stodoły, gdzie byliśmy schowani w słomie. Planujemy ucieczkę przez granicę. Jest już czerwiec 1930 roku. Było nas 9 osób. Pełzniemy przez mokre zboże. Doczołgaliśmy się do skupa z ukośnymi paskami - aha! to już polska granica. Nagle uszyliśmy: "Stój! Kto idzie!" - to już była polska straż graniczna.

Aresztowano nas formalnie, zaprowadzono do Klecka, potem do Stołpców. Przyjmują nas bardzo grzecznie. Żony KOPistów przynoszą nam jedzenie, czekoladę. Widzimy dużą piękną salę, z białym orłem. Mówią nam, że to aresztowanie, to tylko formalność. W Klecku widzę, że idzie mój brat. Proszę strażnika, żeby mnie puścił do brata, ale strażnikowi nie wolno tego zrobić. Wtedy brat dał się niby aresztować - żeby być koło mnie. Pyta: "Mana?". Ja "Nie ma". "Irenka"? Ja: "Nie ma."...

Odprawiono nas do Nieświeża. W Nieświeżu cały sztab naszych znajomych, koledzy z gimnazjum. Prowadzą nas dalej do Stołpców, oddają nas policji. Policja i KOP - to wielka różnica. Policja na noc wpakowała nas do aresztu. W drzwicach - judasz, oko. Łózka przynocowane do ściany. Rano: "Proszę wstać!" i spoza strażnika wysuwa się wilczur z kagańcem na pysku. Za nim wysuwa się jakaś dama - wystrojona; naczelnik więzienia /czy coś w tym rodzaju/.

Pisałam pamiętnik. Pokazywałam go zaufanym osobom. Nie pisałam zbyt dużo bojąc się, że za dużo prawdy napiszę i jeszcze komuś zaszkodzię.

W Nieświeżu ta dama zwraca się do nas /było nas 3 kobiety, bo sągczyni posadzono osobno/: "Co nacie tak siedzieć, ja mam darcie piór, możecie to robić". Ja nato: "Jeśli to rozkaz, to będziemy to robić. Ale jeśli nie, to odarto nas ze wszystkiego, została tylko skołatana dusza". I ona nie przyniosła tych piór.

W Nieświeżu w komendzie powiatowej zajmują się nami tajniacy.

Eugenia Sosnowska c.d.

Na korytarzu widzę przechodzącą kobietę. Zwracam się do funkcjonariusza: "Proszę pana, czy to przypadkiem nie jest Halina Stanowska?" A on pytaniem na pytanie: "A pani Stanowską zna?" /bo tu granica blisko, więc wszystko wydaje się podejrzane/. A ja na to: "Znałam dwóch", - bo to były bliźniaczkę. W pewnej chwili ona biegnie do mnie: "Krukowska, co tu robisz!"

Po tym przychodzi komendant powiatowy, odrazu nas zwalniamy. Niejaki pan Barnawicki, pracownik zarządu głównego dóbr księcia Radziwiłła - nasz dawny znajomy - przychodzi do nas. Dostajemy czasową wizę z prawem pobytu na 6 miesięcy - no i jesteśmy wolni. Jedziemy najpierw do mojego brata. Nie mamy jeszcze stałej pracy, bierzemy, co się da: czy uprawa kultur leśnych, czy co. Mieszkamy u szwagierki mojej starszej siostry. Gospodyni zaprasza nas na obiad, mówi, że pastuszek nas wezwie na obiad trąbką myśliwską. W dzień słyszyny tę trąbkę, ale udajemy, że nie słyszeliśmy, żeby nie korzystać z tego obiadu - bo to nas krępowało.

Szukamy znajomych. Wiemy, że gdzieś jest Rudziński Paweł, były oficer. Mąż mój jedzie do Fińska, do nadleśnictwa. Tam znajduje dane z Rzeczy w powiecie pińskim, nad brzegiem Styru /wpadającym do Piny/ - na Polesiu. Właścicielem tego majątku miał 15 tysięcy ha ziemi /było ich dwóch braci/. Potwierdził on, że tam jest Paweł Rudziński, kuzyn męża.

W majątku tym, gdzie dostaliśmy pracę, jest tzw. serwitut. 750 ha pan Terlecki ma oddać chłopom. Trzeba eksploatować las. mnie zatrudniają w charakterze osoby, która przyjmuje drzewo od wozaków /drzewo to flisacy spławiają potem rzeką dalej/. Mąż pracuje przy cechowaniu tego drzewa. Ale interes ulega likwidacji, znów trzeba szukać dalej. Tęże Paweł Rudziński powiedział, że Michał Wasilowski - nasz były sąsiad /profesor/ ma po sobie majątek niedaleko Pińska. Pojechaliśmy tam, zostaliśmy tam. Umówiliśmy się, że jeżeli Wasilowski straci posesję /był on równocześnie dyrektorem banku/, to my będziemy musieli przenieść się na miejsce mniej płatne. Zgodziliśmy się na to, mąż został zarządcą majątku. Po kilku latach powstała taka sytuacja, ale my nie mogliśmy przyjąć tych gorszych warunków.

Niedaleko mieszkała była frejlika dworu carskiego /majątek Zająziersze/ - niejaka pani Gołowina /jej mąż był niegdyś prezydentem Gosudarstwiennoj Dumy/. Ta pani skierowała nas do swojej koleżanki /Radziwiłłówny z domu/, której majątek był pod bankiem. Nie godzimy się tam zostać /to było gdzieś w okolicach Horynia/, bo to niepewne. Dostajemy list od brata, z Nieświeża, z infor-

Eugenia Sosnowska c.d.

macją, że jest dla nas praca w pobliżu Nieświeża.

Jak przyszli bolszewicy w 1939 r. to musiałam kończyć kurs języka rosyjskiego i dostałam posadę nauczycielki w Kaczanowiczach.

Ale przedtem, kiedy brat sprowadził nas do Nieświeża, to mąż dostał pracę w nadleśnictwie. Ja prowadziłam dom. Kiedy przyszli bolszewicy, to mąż został aresztowany. Ja nie miałam wyjścia. Mając wykształcenie mogłam pracować jako nauczycielka. Mieszkaliśmy z mężem w Świętokrzeskim Gaju - to było w lesie, to była tzw. objazdówka, leśniczówka. Męża aresztowali bolszewicy - nie ufali nikomu. Ja straciłam wtedy mieszkanie i musiałam przenieść się do Kaczanowicz na posadę nauczycielki.

Szkoła skierowała mnie na kurs języka rosyjskiego do Nieświeża. Wszyscy polscy nauczyciele musieli kończyć taki kurs. Przyjeżdżał jakiś wykładowca z Mińska i wykladał np. darwinizm. Jeśli ktoś się nie zgadzał z jego poglądami, to nazajutrz już go nie było na kursie. Ja na zajęcia prawie nie chodziłam, bo znałam dobrze język rosyjski jeszcze z czasów szkoły carskiej i z późniejszych kolei losu, ale dostałam zaświadczenie o ukończeniu kursu.

Mąż ^{siedział} ~~został~~ w więzieniu w Nieświeżu. Przed otrzymaniem nominacji zostałam wezwana do wydziału oświaty i zapytana, ile zarabiał mój mąż. Powiedziałam, zgodnie z prawdą. Po pewnym czasie zostałam znów wezwany do władz oświatowych. Zarzucono mi, że zataiłam prawdę o swoim mężu, mówiąc o jego zarobkach. Ja na to, że powiedziałam prawdę, gdyż pytano mnie w czasie przeszłym: "Ile zarabiał mój mąż?", a ja gramatykę rosyjską znam dobrze. Gdyby mnie zapytano w czasie terażniejszym, to odpowiedziałabym, że teraz nie pracuje.

W kwietniu 1940 r. przyszli po mnie NKwdsiści. Pamiętam, że na Wielkanoc 1940 r. było głosowanie na temat dobrowolnego przyłączenia tych terenów do Związku Radzieckiego. W Kaczanowiczach w mojej szkole był punkt wyborczy /tam też prowadziłam wieczorówkę/.

Ponownie do Rosji zostałam wywieziona 13 kwietnia 1940 r. Przyszli po mnie rano, przed rozpoczęciem lekcji w szkole. Powiedzieli mi, żebym niczego nie brała. Zaczęli spisywać moje mienie. Powiedziano mi, że potem moje mienie zostanie sprzedane i pieniądze otrzymane z tej sprzedaży zostaną przysłane do miejsca przeznaczenia /ale nie mówią, gdzie to będzie/. W tym czasie już co nieco miałam: były meble i inne rzeczy potrzebne do życia.

Eugenia Sosnowska c.d.

II strona

Kiedy mnie z synem nabierali, to mąż jeszcze siedział w więzieniu w Nieświeżu. Chodziłam do więzienia, nosiłam paczki. Swego czasu przeschmuglowałam mu nici i igłę. Dostałam po czasie razem z brudną bielisną dziwną ściereczkę. Z tej ściereczki mój biedny mąż wypruwał nini i wyszył dla mnie informację: "Pisz w papierosach." Mąż nie palił, ale wtedy zrozumiałam, że powinnam mu podawać też papierosy - mógł przecież je oddawać innym aresztowanym, którzy nie mieli co palić. Zaczęłam wtedy kupować tytoń i gilasy i w tych papierosach mogłam pisać. Ale to niedługo trwało, bo mnie wkrótce wywieźli. A mąż siedział w sumie 10 miesięcy.

Kiedy było głosowanie, to zapowiedziano mi, żebym pilnowała, żeby nikt nie zachodził do kabiny, żeby ludzie szli zaraz do urny. A kabin było aż 9! Dla formalności. Przyszedł mój znajomy - pan Władek i miał zamiar skierować się do kabiny. A ja mu na to: "Panie Władku, tutaj jest urna." - bo wiedziałam, że na drugi dzień już go sprzątnęliby. Komisja tylko z przekąsem powiedziała o mnie: "Ale spozstrzegawcza!" Wszyscy więc "dobrowolnie" się dołączyli do ZSRR!

Kiedy wywozili mnie z Kaczanowicz, to odtransportowali do stacji Hordsieja, i na tej stacji załadowali do wagonów - w takich samych warunkach jak to było w 1929 roku, kiedy wywozili nas po raz pierwszy. Teraz jestem już tylko z dzieckiem, bez męża. Znowu do wagonu otrzymujemy dwa wiadra wrzątku na dochę i dwa wiadra niby-zupy. Na stacjach NKWDziści wyprowadzają nas pod konwojem po te wiadra. Transportowali nas w ten sposób ponad 2 tygodnie. W pewnym momencie zobaczyłam łańcuch gór i szlup z napisem "Asja". Wiosą nas przez Nowosybirsk do Pietropawłowska, potem od Pietropawłowska jeszcze 100 km - do Północnego Kazachstanu, powiat Jawlenka, Tarangulskij sowchoz.

Sowchoz ten miał może około półtora tysiąca ha ziemi. Teren bezleśny, stepowy. Step jest piękny. Latem, kiedy sakwita trawa, jest bardzo ładnie. Przeważa kowyl-trawa, taka srebrna. Tam nas wrzucają byle gdzie, do pomieszczeń niepodobnych do budynków. Mnie wwalili do nieczynnej piekarni, było nas 13 rodzin. Jedną z tych mieszkających ze mną w tej piekarni była p. Hanka Szczerba, mieszka teraz gdzieś tu niedaleko, ale już zgubiłam z nią kontakt.

Po jakimś czasie trzeba było uruchomić tę piekarnię, bo przybyło ludzi. Każą nam budować domy. Z czego? W pobliżu nie ma żadnego lasu, żadnego drzewa. Jest tylko siła pociągowa - woły. Ro-

Eugenia Sosnowska c.d.

bią więc brygady, mnie wyznaczają brygadzistką tej polskiej brygady /były tam Polki: Szczudłowa, Rokicka, Szczygłowska, Jodłowska i szereg innych osób/. Domy trzeba było budować z darni. Oraliśmy bykami ugór, nie bardzo umieliśmy to robić. Dyrektor dał nam kogoś miejscowego do pomocy do orania tej darni. Z tego stawialiśmy chatki - z otworami na okna i drzwi. Żeby się wszystko nie sawaliło- potrzeba było przynajmniej odrobina drewna. Oficjalnie drewna nie było. Ale budowano tam szkołę i z tej budowy można było za opłatą dostać obrzynki. Nie wolno było stawiać chatki większej niż 5x5 m. Zbudowaliśmy w sumie 10 chatek dwuizbowych. Ściany były szerokie na 50 cm, sianą tam były straszne mrozy, a latem dla odmiany było bardzo upalnie.

W tej sytuacji każą nam się wynosić z tej piekarni. Z tych darniowych chatek cypie nam się na głowę. Nie mamy na czym spać. Kombinujemy prycze, to znaczy kradniemy - za wiedzą brygadzisty. Brygadzista boi się dyrektora, mówi więc: "Woźmi i udiraj!". W naszej chatce zrobiliśmy cztery prycze; pod każdą pryczą była wykopana jama. Do tej jamy na sianę chowamy kartofle, czy cokolwiek innego - bo inaczej wszystko zmarło. Początkowo były duże ograniczenia: na pracującego można było kupić 500 gramów chleba dziennie, a na członka rodziny - 200 gramów. Ja więc dostawałam 70 dkg chleba dziennie. Wolno było kupić 20 dkg soli na miesiąc - i nie poza tym. Owszem, wolno było jeszcze kupić wódkę, jeśli kto miał pieniądze.

Miejscową ludność stanowili przeważnie Kirgisi. Ale było też sporo Rosjan. To też byli ludzie kiedyś przesiedleni, ale oni już byli trochę zagospodarowani. Nas, Polaków wtedy było w tym Tarangulskim sowchozie 25 rodzin. Byli ludzie z Łunińca, z Baranowicz, z Nowogródka. Z Łunińca były aż trzy rodziny - Szydkowscy, pani Dzienieńczukowa /ona mieszka w Myśliborsku/ Weronika. Mąż pani Dzienieńczukowej poszedł do Armii Andersa, zginął pod Monte Cassino i ona została wdową. Dzieci p. Dzienieńczukowej wychowały się na porządnych ludzi.

Poszłam do pracy w sowchozie. Zostałam brygadzistką, bo znałam język rosyjski, a to było potrzebne do prowadzenia sprawozdawczości - tabiela rabot. A ja się początkowo bałam, bo nie znałam się na tym. Ale była jedna pani, główny zootechnik sowchozu, która powiedziała, że mi pomoże wciągnąć się do tej pracy. Nie chciałam tej pracy i powiedziałam, że ja nie umiem po rosyjsku ani czytać ani pisać. Wtedy ten dyrektor /on też i NKWDzista/ powiedział mi:

Eugenia Sosnowska c.d.

powiedział mi: "Czsto ty duraka walajesz, za tobój wied' piersona-
lija prissli". No i na tym się skończyło. Potem nawet tego nie
zakawałam. W tym sowchosie jeszcze można było wyrzynać. Mieszka-
lkiny w tych chat ach. Kiedy doszło do porozumienia z Sikorskim,
to nawet pozwolono nam świętować Boże Narodzenie i Nowy Rok. To
był jedyny raz.

A początkowo nie było Bożego Narodzenia ani żadnego innego
święta, były 24 godziny pracy na dobę. Bo był taki zwyczaj, że
nawet w środku nocy naczałstwo mogło obudzić do pracy i trzeba
było iść. Kiedyś moja partnerka do piła mówi mi, że ją brygadzi-
sta obrugał za to, że nie wstała w nocy do pracy. Poradziłam jej,
żeby na przyszłość nie sprzeciwiała się, bo wtedy będzie cierpia-
ła tylko fizycznie, wstając w środku nocy do pracy, ale będzie
miała luksus psychiczny. A w nocy nas budzono np. dlatego, że z
Pittropawłowska przychodził opał /nafta, ropa/ - w cysternach po
2 i pół tony. Trzeba to było szybko rozładowywać. Były też różne
inne kłopotliwe prace w okresie zimowym, bo latem to były przeważ-
nie prace polowe. Ale nauczyli nas jednego - kłamać, kraść.

Norma, którą pracownik musiał wykonać, a brygadzieta wykazać
była nierealna, bo na przykład zimą przy wywożeniu nawozu na pola
woły grzeszy w głębokim śniegu i nie sądziły obrócić tyle razy,
ile przewidywała norma. Początkowo więc wypełniałam sprawozdania
zgodnie z prawdą. Wtedy przełożony zapytał mnie, czy ktoś waży
ten obornik, który my wywozimy. Stawialiśmy więc w polu też ta-
kie satory ze śniegu, by wiatrem nie wywiewało śniegu z pól. A
tam były takie wichury i zamiecie /purga/, że często chatki kuz-
całkowicie zasypywało śniegiem. Zdarzało się, że traktor przejechał
nad taką chatką i traktorzysta nawet nie wiedział, że tam pod
śniegiem jest chatka. Zdarzały się wypadki, że purga zasypywała
ludzi.

Nauczona uwagami miejscowych też wpisywałam do sprawozdania
takie dane, jakie były potrzebne, a nie takie, jakie były w rze-
czywistości.

Polacy żyli bardzo zgodnie, była idealna zgoda, idealna wiara.
Odprawialiśmy w naszych nieszczęsnych siemiankach najowe nabożeń-
stwo. Ktoś z naszych miał obrazek Czarnej Madonny - on był u p.Ha-
liny. Obrazek ten po kolei przechodził do poszczególnych rodzin.
W nocy odprawialiśmy przed nim nabożeństwo. Kwiaty zbierały nasze
dzieci w stepie. Miejscowe Rosjanki dziwiły się, że my tak pięk-
nie śpiewamy nabożne pieśni. Przychodziły słuchać.

Po tylu latach poniewierki religijnej Rosjanie mieli czasem

Ewrenia Sosnowska c.d.

niepojęte odruchy religijne. Przychodzi kiedyś do nas żona dyrektora sowchozu z miską jakichś pierogów czy klusek polanych tłuszczem. Przychodzi i mówi, że jej chłopczyk został pochowany przez bez Boga. Prosi nas, żebyśmy umówili za niego "wieczne odpoczywanie".

Po porozumieniu z Sikorskim zostały nam wydane dowody osobiste - w języku polskim, rosyjskim i francuskim. Dopiero wtedy zwołano nas do klubu, powiedziano, że musimy się uczyć rosyjskiego, że jesteśmy wszyscy niepiśmienni. Wtedy ja odpowiedziałam, że wśród Polaków nie ma ludzi niepiśmiennych. Wtedy ten naczałnik NKWD powtórzył, że jesteśmy analfabetami, bo Polski już nie będzie, a polski alfabet już "w powietrze ulecieł". A ja powiedziałam, że niech sobie lata, zawożę dziewczęta - i wszystkie wyszłyśmy ze świetlicy. To zdarzenie miało miejsce jeszcze przed podpisaniem porozumienia z Sikorskim. Później tego NKWDaistę poskali na dyrektora sąsiedniego sowchozu. Spotykałem go później, już po porozumieniu z Sikorskim. On woła do mnie na ty: "Zarawstwuuj, Sosnowska!" To ja też na "ty": "Zdravstwuuj!". On na to: "Chto słyszno?" A ja: "Słyszno, chto polskij alfavit obratno s wozducha prilietieł". A on na to: "Widisz, kakaja skopaniatnaj." A ja mu nawet, że to on był bardzo krótkowzroczny, że państwo nie może nagle zapaść się pod ziemię.

Nasze dzieci uczyły się polskiego w rodzinach. Była rodzina Pawłowskich, w której były 3 córki, najstarsza była już może w którejś klasie gimnazjalnej. Ona trochę uczyła. Nie było podręczników, dzieci uczyły się z tego, co było pod ręką. Dzieci chodziły do rosyjskiej szkoły. I to nie była zła szkoła. Był chyba wysoki poziom matematyki. Wiedzą, że nasze dzieci po przyjeździe tutaj do Polski nie miały kłopotów z matematyką. Mój syn po przyjeździe poszedł do drugiej klasy gimnazjalnej w Oławie i był w stanie pomagać w matematyce kolegom ze starszych klas.

Na Dzień Narodzenia, po podpisaniu porozumienia z Sikorskim, urządzamy w jednej sieni jasełka. Zużywamy dwie prycze. Nie ma choinki, więc zamiast niej stawiamy małą brzoškę. Dekorujemy ją zabawkami z gazety /na gazetach nasze dzieci odrabiały lekcje, bo zeszytów nie było/. Halinka Szczudłówna z Wołkowyska grała Matką Boską - w kosciele. Spiewaliśmy kolędy i płakaliśmy.

Z sowchozu napisalam do siostry, która mieszkała pod Nieświeżem. Siostra przesznułowała mój adres mojemu mężowi, który wciąż jeszcze siedział w Nieświeżu. Potem otrzymałam wiadomość, że mąż

Eugenia Sosnowska c.d.

znów jest w Kotłazie, tam, gdzie byliśmy w 1929 r. Powiedziano mu: "Otkuda ty biegał, tuda i woswratiszsia". Mąż znów pracował w lesie. Nie miał prawa pisać do mnie listów, mógł tylko czasami przysłać kartkę pocztową, która była na rogu oznakowana "SgO." - socjalno opasnyj, inaczej korespondencja by nie doszła. Mąż nie miał żadnej rozprawy. Był jednak wzywany na przesłuchania, stał po wiele godzin pod ścianą, śledczy się zmieniali, a on stał bez przerwy pod ścianą. W końcu zgodził się podpisać papier, który mu podsunęli - sam nie wiedział, co w tym dokumencie było napisane. Być może podpisał zgodę na dobrowolny wyjazd do Kotłasu.

Bardzo dużo ludzi z sowchozu poszło do Andersa. Ale samotne kobiety z dziećmi nie poszły. Dostałyśmy z czasem działki, na których mogliśmy posadzić ziemniaki. Odstawiałam w sprawozdaniach lipe i nasza polska brygada była stachanowcami.

Było w sowchosie takie zdarzenie: kazano nam ręcznie osypywać ziemniaki, chyba z 10 ha. A ja się postawiłam, powiedziałam, że nie będziemy tego ręcznie robić. Zaządałam, żeby zrobiono nam pług - "okucznik". A oni nie mieli pojęcia, jak taki płużek wygląda. Ale był tam Polak - kowal i on zrobił nam ten płużek. Władze sowchozu uprzedziły mnie, że odpowiadam za urodzaj i za ten eksperyment. Powiedziałam, że urodzaja będzie, jak Bóg da. Zapytali mnie, czy wierzę w Boga. Powiedziałam, że tak. No i urodzaj był piękny. Zaządałam premię - w ziemniakach dla ludzi /tzn. możliwości kupienia tych ziemniaków po cenach państwowych, tzn. bardzo tanio/. Powstał jednak problem, gdzie te ziemniaki przechować. Poszłam do brygadziasty - magazyniera Fiedi, żeby wyraził zgodę na przechowanie naszych ziemniaków w magazynach sowchosowych - w piwnicach, które my swego czasu kopaliśmy. Obiecałam mu, że podzielimy ziemniaki po połowie. Tak i zrobiliśmy. Wszystko się udało, a to było przecież matactwo. Potem pani Pawłowska mówi mi że modliła się, żeby wszystko się udało. Powiedziałam jej, że modliła się o to, żebyśmy szczęśliwie ukradli! Tak to było, ale nas tego nauczono.

Mączyliśmy się w tym sowchosie do 1946 r. Ale kiedy serwano umowy z Sikorekim, to nasz byt znów się pogorszył. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że tworzy się nowa armia. Wtedy do tej nowej armii został wcielony i mój mąż. Ale był tak wycieńczony, że został wysłany na leczenie do Taszkientu. Ale w tym Taszkientie nie bardzo się podleczył i dopiero w 1945 r. przyjechał do mnie do Kazachstanu. Kiedy go nagle zobaczyłam, to o uszło nie zemdlałam.

Eugenia Sosnowska c.d.

Z Paszkientu mąż został wypisany na 6 miesięcy do rodziny, tam do nas na rekonwalescencję, ale 9 maja był koniec wojny, tak że mąż uniknął frontu. Ale mówię, że wtedy gdy go spod Kotłasu powołał do wojska, to dużo Polaków zostało nadal na Północy, że tylko niektórych stamtąd wypuszczono dla samydlenia oczu.

Kiedy powstał Związek Patriotów Polskich, to przez pewien czas otrzymywaliśmy takie małe paczuski. Był w nich, np. taki mały lekki sweterek. Za taki sweterek można było dostać 3-4 litry mleka i to było dla nas wielkim zbawieniem, bo można było przynajmniej po pół litra dziennie tego mleka dać dzieciom.

Po kapitulacji Niemiec pracujemy nadal ciężko, bo nie ma nęcy, cayan. Latem przenosimy się do Pietropawłowska. Syn poszedł do technikum, mąż zatrudnił się jako stelmach, ale otrzymał gwarancję, że w razie potrzeby otrzyma zwolnienie z pracy. Ja już formalnie z synem wyjechałam z tej ziemianki do Pietropawłowska /nie ziemiankę sprzedawałam za kg masła, jeszcze się znalazł nabywca!/.

Z Pietropawłowska przyjechaliśmy do znajomego do Środy Śląskiej na 3 dni przed Bożym Narodzeniem. Przyjechaliśmy już na własny koszt, ponieważ razem z repatriantami nie mogliśmy wyjechać, ni wypuszczano nas ze Związku Radzieckiego. Z Kazachstanu wróciliśmy do Nieświeża, potem mój szwagier przywiózł nas do Baranowicz. Dopiero w Baranowiczach załatwiliśmy sobie zgodę na wyjazd. Przejchaliśmy przez Przesł. Nie byliśmy na punkcie repatriacyjnych.

Dostaliśmy pracę w Oławie w satoji doświadczalnej hodowli roślin: ja pracuję przy sprzedaży kwiatów, a mąż jako buchalter. Lubię kwiaty, były piękne pąki róże. Przed Palmową Niedzielą przyszedł ksiądz po kwiaty. Zapytał mnie, dlaczego syn nie przychodzi do Komunii Sw. Wyjaśniłam mu, że wróciliśmy z Syberii. Na to ksiądz, że nie potrzebuje już żadnych wyjaśnień więcej. Nie mieliśmy w co syna ubrać, ani do szkoły, ani do I Komunii. Wszystko było znoszone, pocięte. Mój przełożony powiedział mi żebyś poszła po pomoc. Ale ja się krępowałam. W końcu jednak zdecydowałam się pójść do Czerwonego Krzyża. Tam jakiś mężczyzna wypisał mnie, gdzie byłam i jak nam się układało. Opowiedziałam mu wszystko, na co on dał mi porteczki na trzyletnie dziecko, kawałek mydła toaletowego i pół funta sody. Powiedziałam, że tego nie przyjmę, bo tymi porteczkami handlować nie będę. Na to on, zobaczył na moim palcu solidną obrączkę i mówi: "NU, pani obrączki nie sprzedawała, to chyba nie było tak ciężko." To był żyd. A ja mu na to: "Chrześcijanin by tak nie powiedział." I nic stamtąd

Augenia Sosnowska c.d.

nie dostałam. Potem jeszcze raz spróbowałam starać się o pomoc, tym razem w magistracie. Przychodzę tam, duży pokój, duże biurko, za biurkiem siedział grand-dama z jakimś turbanem na głowie, z jakimś lisem na szyi. A ja ubrana jak Szwejk, pytam, czy należy mi się na kartę repatriacyjną jakaś zapomoga. Należy się. Napisałam podanie, zaniosłam. Byłam oszykana z dnia na dzień. Wreszcie ta grand-dama powiedziała, że papier, na którym napisałam podanie, jest nieodpowiedni. Poprosiłam o jakiś lepszy papier, dostałam jakąś stronę niemieckiego dokumentu, na odwrocie było miejsce na podanie. Ale nie miałam pióra, poprosiłam tę panią o pióro. Na to ona: "Jeśli pani pióro sepsuje." Mnie satkało z oburzenia. Na to siedzący obok jakiś pan podał mi swoje pióro. Napisałam to podanie, oddałam i powiedziałam, że już nie wierzę, że otrzymam jakąkolwiek pomoc. A tej pani powiedziałam, co o niej sądzę.

Burmistrz wyszedł za mną i powiedział, że już jedna wilnianka też tej pani dała bobu.

W końcu gdzieś z opieki społecznej dostałam jakieś pozbierane kaszki dla syna. Ale syn powiedział, że nie będzie przystępował do Komunii razem z małuchami Pierwszokomunijnymi, bo się krępuje. Ksiądz przyszedł mu rację.

Poszłam kiedyś na wywiadówkę do syna. Nędśnie ubrana, krępuje się, ale pochodzi do profesorów. Powiedziałam, że syn ma zdać jeszcze egzaminy uzupełniające z języka polskiego i historii Polski. Dowiedziałam się wstępy, że syn już wszystko uzupełnił. Dyrektor podszedł do mnie, pocałował w rękę, pogratulował mi syna. Prawie się popłakałam.

Sąsiadka zaproponowała mi ubranie swojego syna. Ale mój syn kazał podziękować, powiedział, że Panu Bogu wszystko jedno, w jakim on będzie ubranu.

Do pewnego czasu przenieśliśmy się do innej miejscowości, potem do cukrowni Swidnica koło pszena. Tam pracowaliśmy przez cały czas, początkowo oboje w księgowości. Ale potem wyszło zarządzenie, że ryżonkowie nie mogą pracować w tej samej instytucji w finansach, więc ja zmieniłam pracę, byłam kulturalno-oświatową. Pracowałam w Kole Gospodyń Wiejskich, założyłam PCK. Mąż dostał EKCOOP, oznaczenia ZBOWIDU. Mieliśmy piękne mieszkanie. Mam różne zdjęcia - i przedwojenne, i z Syberii.